

Adolf Nowaczyński

# Laureat na złej drodze

## POZYTECZNE ZABIEGI

Podanie na tem miejscu całego szeregu pisarzy starszych daty kuracyjnego zabiegu (Roentgenizacji) prześwietlania, poczem silnym natryskiem zimnej wody i lodowatym okładem na głowy owawrzynione wpłynęło bardzo regeneracyjnie na ich samopoczucie, odebrało im nieco... zbytnią oziębałość wytwarzającej wagi i pomniejszonych olbrzymów postawiło na właściwych miejscach; może wpłynęło to teraz pobudliwie i ożywczo na ich ostatnio już całkiem zmachaną twórczość, produkującą wyłącznie skisłe zakłace i dzieła wprost już nie do straszenia. Kolejno choć nie wedle rangi wzywane były ad audientum verbum rodzime tuzy i asy, aby po sumiennem badaniu wysłuchać mogły poważnej diagnozy, a następnie i wskazań, jakim to trybem jeszcze ratować mogą resztki pisarskich talentów i indywidualności.

Dzięki zjednoczonym wysiłkom krytyki narodowej, czyli krytyki grona pisarzy z obozu narodowego, w przeciągu zaledwie kilku lat zostały do właściwego poziomu sprowadzone (zredukowane), względnie obniżone sztucznie przez mafię i terror rozdymane i rozdeptane wielkości, przeważnie alimentowane to przez rząd, to przez żydów, to przez żydów i rząd równocześnie.

W opinii i w świadomości inteligencji z r. 1934 wszyscy ci pisarze krytycznej kuracji „odtłuszczającej” poddani, już przesunęli się na właściwe miejsca. Gwiazdy zbyt do ostatnich czasów rozjarzone, świecą teraz normalnym blaskiem drugiej czy trzeciej konstelacji. Bez dłuższego namysłu nikt już w księgarniach nie da się skusić na nabycie „nowego” dzieła naszego tego a tego domowego Nieśmiertelnika. Już nie jest żadnem Tabu sympatyczny, ale monotonnie landrynowaty Staff. Zgasły jako narrator Sieroszewski egzysuje w opinii wyłącznie jako naganiacz aktywatry i okolicznościowy, imieninowy frak z orderami. Demonja Boya - Zelenkiego ma „tętno” tak słabe, że je ledwie słychać. Dynamika malomieszczańska Kadena wyładowuje się już wyłącznie w agitacji, organizacji i komiwojażerstwie. Berenta wyszłego niebacznie z kościoła, samoniecznej baszty, zdołał Kaden nie tylko wyciągnąć na ośmieszenie — ale spowodował rewizję wszystkich jego waleńców literackich, — no i naraził na bezlitosną dekapitację jako tłumacza Nietzschego, przyczem wyjawilo się przynajmniej, że poniechany i w kącie ciemny zepchnięty pisarz Pieńkowski, w jednym odrębnym rzuconym szkicu więcej wiedzy, znanstwa języka i piękna wykazał, niż Berent w dziesięciu poronionych żywych kamieniach (Steinkind). Zmontowanie pośpieszne Akademii na jakiś czas dzięki viribus unitis (społem, panowie! kupą, kupą), wyratowało i sprolongowało żywot doczesny kilku wyaranżowanych solistów i primadonn; odżyła i przypomniała się powojennej generacji nawet paczulowata a patetyczna Miriam. Czy atoli kadzidla, palone w prasie takiemu Towarzystwu Wzajemnych Ubezpieczeń (z nieograni czoną poręką) pomogą na dłuższą zasychającą umarłakom i wyspiwanym miernotom, w to można wątpić. Jako oryginalni pisarze dawno się wykończyli, teraz zaczynają się jako ekscelencje i to im już musi wystarczyć.

## WYCINAC ZARAZĘ!

Udała kampanja przewartościowania starych i steranych wartości, sanacja przeprowadzona energicznie na Olimpie i na Parnasie z lekką egzekucją Staffa a ciężką Berenta nie uwalniała nas atoli od obowiązku skontrolowania, czy przypadkiem robak przedczesnej manieryzacji nie legnie się w bujnym kwiecie i no wych młodych talentach. Tu bowiem przez staranne przyszytycie gałęzi można zapobiedz, aby drzewa nie zbyt chaotycznie,

czy zbyt wysoko wysilenie się rozrosły. Tu można jeszcze przez zastosowanie surowej metody leczniczej ratować młode organizmy przed rozpanoszeniem się w nich jakichś przypadłości całkiem czasem przypadkowych, czasem niestety dziedzicznych. Nastroczają się tedy konieczności, że i w osobniku czy osobowości, uchodzącej dookoła za całkiem świeżą, zdrową i świetnie się zapowiadającą musi się zakaźny stan patologiczny stwierdzić i sprezentować, pocieszając rodzinę, czy parafę literacką, że z pacjenta może jeszcze być wielka pociecha, bo „konstytucja” silna i młoda...

## CASUS RUSINEK

Tak się przedstawia na ten przykład casus; Rusinek Michał, autor „Człowieka z Bramy”. Jeżeli dla okłamania różnych poglądów w literaturze, dla odświeżenia zategłego kadzidla powietrza pod kopułą, dość beceremonjalnie dokonali odbronzowania na kredyt zabronzonych impotentów z poprzedniej generacji, to nie godzi się w rękawiczkach zbyt cienkich przeprowadzić przy koniecznej operacji wycięcia pewnych niepotrzebnych narostów czy nowotworów debutanta, a również już laureata.

Nie znamy innych prób tego talentu. Znamy dzieło, dzięki któremu obdarzono go laurem, to jest powiastkę o Krakowiaku Orzeluchu. W powiastce tej widzimy udatą próbę odnowienia skrajnego neorealizmu czy neorealizmu, nawiązującą nici aż do pierwszych drastycznych jaskrawości nowelowych G. Zapolskiej, próbę pokrewną Uniówskiemu, zależną stylistycznie od takiego bądź co bądź majstra, jak Witkiewicz, ale i od takiego przepoczonego machera pisarskiego, jak Kaden. Neorealizm to względnie neorealizm integralny! Rzecz prosta, że taka próba nie może być pisana językiem konwencjonalnym, czy choćby nawet... regionalnym, toteż i opowieść o wybranym bohaterze „świata pracy”, malomieszczańskim, względnie przedmiejskim „udarniku” (szturmowcu) Orzeluchu napisana jest w języku specyficznym, to jest w argocie

tak zwanych „zuchów krowoderskich”, czyli eufermów, czyli andrusów, względnie oleandrusów pewnego „miasta rodzinnego”, ze względu na niezrozumiałych wyrażenie nie zaznaczonego tak, jak swego czasu w gimnazjach galicyjskich historia polska nazywała się historią „kraju rodzinnego” dla... niepoznaki; czyżby Kraków ze swymi rarytasami tak się już zmudził publice, że jako terenu akcji lepiej go nie nazywać po imieniu?

## ZWIERZOCZŁOWIEK

Otóż ten język, ten slang podkrakowski, czyli krowoderski w utworze bardzo krótkim dawałby dużo emocji jeżeli nie artystycznej, to w każdym razie akustycznej. W opowiadaniu dłuższym niż to, a miejscami działa nawet jako środek na wzmocnienie. Na usprawiedliwienie autora neorealizmu należy w pierwszym rzędzie przytoczyć i podnieść, że opowieść o takim „bohaterze” nie może być pisana inaczej, jak tylko takim narzeczem. Orzeluch, młodziutki syn stróżki (concierżki, dzisiaj „dorożka domowa”) z Krakowa, jest to osobnik rozwojowo zatrzymany jeszcze w stadium przejściowym łagodnego, domowego zwierzocześnika, czy zwierzaka, to jest człowieka, żyjącego jeszcze wyłącznie impulsami zoologicznymi. „Światopogląd” takiego udarnika, czyli czelozwierza zbliża się perspektywą swoją jeszcze mocniej do perspektywy łakomego, żarłocznego karakona z Ka - ra - ko - no - wa.

Wyjątkowo uzdolniony autor nie stara się przez cały ciąg opowiadania ani razu podnieść swego szturmowca na wyższy poziom istoty myślącej nie tylko zoologicznie. Wszystko odbywa się tutaj przez żółdek i dla żółdka. Żółdek, brzuch, kichy, bebecchy, odgrywa rolę regulującą, dominującą. Bohater szturmowiec ma oczywiście i ręce, „widły rak”, raczej „graby”, „pęczniące w lokciach”, „sprzęgnięte w niebieskich sznurach zyłaków”, mocne... „graby”, które „rajbują”. Bohater ma oczywiście i nogi, czyli „gicole”, „raciate”, czy „grasliwe”...

Bohater mocarnik z Krakowa ma oczywiście i... gardło (pod tej radości skłupił mu się w gardle

gruby knedel”), ale znacznie ważniejsze obok silnych kopyt i mocnych racie przednich są przewody pokarmowe, żółdek i zęby, szczęki, zuchwy, które chce gryźć i gryzie wogóle wszystko. Laureat Rusinek całkiem szczerze mówi o swym bohaterze, że „Piotr wogóle czuł jakgdyby żółdkiem”. Najlepszy na to dowód w tem, że ten zwierzoczek omal całkiem identycznie reaguje i na „garnek” z gorącą kawą... i na... muzykę... Łyk kawy:

„Każy z nich rznął go boleśnie w grdykę, gryzł tępym kozikiem po twardej rurze przetyku aż w dół do samego brzucha, gdzie to wszystko rozlewało się dopiero w jakieś wielkie gorące”...

## Łyk muzyki:

„Zdawało mu się, że wlewa mu się wprost przez uszy do żółdka i tam gdzieś wprawia w chaos czucie. Piotr wogóle czuł jakgdyby żółdkiem. Tam gdzieś w zwojach kich, gdzieś w żółdaku czy wyżej nad żółdkiem burzył mu się spokojny porządek organizmu, tam gdzieś rodzi się żar, nagły bulgot krwi czy czegoś nieznanego, a potem dopiero szczybowało to wszystko aż do gardła i skroni... Wtedy rozlewała mu się trucizna po żyłach, jakby się schlał wielkimi lykami mocnej wody”...

## SEDNO ŻOŁDKA

Tego żółdka, brzucha, kiszki, gardła jest na wszystkich stronach powieści pełno, może nawet zapełno... Bohater szturmowiec chce jeść, je, „eka”, „gliwi”, „ciupie”, „dzianie”, „miaska”... „trze-pa!” szczękami... „chwytą się za brzuch i przyciska żółdek”... „żółdek wiażył mu pod płucą, gniótł mu wnętrzności”... „jedno czuł, że mu dobrze हुआ żółdek”... „ba nawet „zaciskał zęby w żółdku”...

Te dość pospolite funkcje żarcia, gryzienia, kasanja i t. p. rozrastają się do takich rozmiarów i takiej częstotliwości, że przeważają w metaforach i w „malarskich” przenośniach. Gryza i kasa już nietylko żarcie i nietylko zębem udarnika z Krakowa: „gryzły coś twardego paluchy przytłamszone”, „zdawało jej się, że będzie kasał tę kławą gęstość świata”... „polykając grube kawy powietrza, zamykając mu klapy w gardle”... „tyrkoł kół, gryzących szyny szeluzina po szeluzinie”. I t. p.

W tych warunkach i przy takim patrzeniu na świat z pers-

pektywy gryzoniów nie dziwnego, że i... ulice miasta zmieniają się na... gardla... („Tum siedział mocno w gardle ulicy wielkim, twardym korkiem” sic: Korkiem). I nie dziwnego, że serce ludzkie wydaje się zwierzoczekowi kłuchą („kłucha serca w garści”). I nie dziwnego, że znów dziewczę doznające na widok tego szturmowca z Krakowa pierwszych dreszczów miłosnych... „cieszyła się, że go boli żółdek”... „Marta traci kontrolę wszystkich zmysłów. Przecież w tej chwili czuć smród ludzkiego kału z kanałów, jak to bywa przed burzą”...

## NEONATURALIZM

Jak więc widzimy z tych pierwszych próbek stylowych, jesteśmy spowrotem (po trzydziestu latach) w samym ośrodku konsekwentnego naturalizmu à la Zola, à la Zapolska i t. p. z pewnymi reminiscencjami z pierwszych nowel Żeremiasza i Reymonta, aczkolwiek dla decorum daniere cri będzie się cytowało filjację z Braibantem, Malraux, z Joycem... Z naturalizmu staromodnego całkiem żywcem wzięte są charakterystyczne „zmierzwienie”, „kupka pomierzwionych betów”... „gwar i śmiech mierzwił mu się”... „po skołataną głowę mierzwiły się nieustannie trud i praca”. Z Reymonta... „lunęło słońcem”, „lunęło nawałnicą”... Muzyka... to „jakby pęchy gryzły w szyję” (Zapolska). Z Żeremskiego: „twarz obwisła jak zmięta mecherzyna”, „skurezyła się skóra w twarde krupki”. Z tak zwanych „perelek” naturalistycznej gwoy moc jest takich, które były lub mogły być u... Witkatego: tytać, tytać, tarmosić, telepać, pelętać, miętolić, rozciapać, rozchłupywać, rozmamać, rozmamrany, hurgot i hurgot... no i odpowiednie synchronizujące z takim słownictwem metafory:

„trzepaczki żagli” i „trzepaczki telegraficznych słupów” („grzyby buforów”),

„miała oczy szeroko rozdeptę uwagę” (choroba Basedowa?),

„Tam rznąły go zębry ulic”, tu znów „kran ciurkał”, „kurek siurkał”, maly żydek ojcu „sikał w zupe”, a ojciec to zjadał...

Bronisław Komierowski

# Na Helikonie

Na Helikonie ruch. Pożółkły marmur ław i stołów oczyszczono do gruntu. Na śnieżnej białej ław zsiadło grono Kastalid. A żadnej nie braknie. Nawet Terpsichora, obecnie nad możność zajęcia w swoim tańcu, i ta musiała się jawnie.

U czoła na wzniesieniu Apollo siedział czegoś chmurny. Tylko co rzucił leżące stonocznę kwadrygi, zupełnie po całodziennym trudzie wolałby spocząć. Jednak nie można. I tak ostatnimi czasami Niebiańskie Grono zbierało się dość opieszale. Dziś jednak okazja niezwykła: posłuchanie wystawców cechu Mistrzów Sztuki.

Czego chcą? Nikt nie wie. Niech wejdą, niech sami powiedzą. Apollo dał znak, więc wchodzą.

Idzie wprzód Iktynusz i Kalikrates, prowadzą go Fidasz. Za nimi też Agamedes z Trofoniuszem i ateczny Praksyteles i macedończyk Dinokrates. Stancji półkolem, nisko pochyliłi czoła w ukłon, potem zastęgli w bezruchu. A gdy Apollo zapytał: „Z czego przychodzicie?”, odezwie się Fidasz w te słowa:

— Wiadomo Tobie, jasny Febie, i Wam, Dostojne Niebianki, że Grono młodych, zanim rządy złożył, rozkazał cieniom naszym wrócić między śmiertelnych i po wsze czasy stać na straży piękna i radości. Na srebrny Twój łuk, boski Apollinie, myśmy ten nakaz spełnili! Przez długie lata, kto pragnął, u czystych źródeł Kastalii mógł gasić pragnienie. I naraz... Czy stary Chaos porwał do rządów? Czy spór między bogami pomieszał rozum śmiertelnych? Gasić pragnienie?! Ależ oni dzisiaj jedną troskę mają — jak

pragnienie obudzić! Nie wiedzą, czego pragnąć, gdyż na rzecz nie spojrzeli, póki się ta w nieznany kształt nie przystroił. I, szaleni, oni tworzą piękno! Przytwórzcie, Mistrzowie, myśmy piękna nie tworzyli. Samo się jawnie, kiedy wóły bogów oblekaliśmy w kamień. Więć dziś karą Danaid stało nam się boskie poselstwo... Pozwólcież zaznać nam spowrotem słodczy Elizejskich Pól! Dajcie nam spocząć! Dajcie nam odejść!

Za plecami Fidasza odezwał się zgodny chór Mistrzów:

— Dajcie nam spocząć! Dajcie nam odejść!

Poczem zapadło milczenie. Czyżby gorące wezwanie nie znalazło uznania?

U stóp Apollina zabrzękły złote struny liry, jakby trącone niecierpliwą ręką. Wzdłuż kamiennych ław pobiegł szmer, niepomyślny dla mówcy. Głos zaszeptał: „A co z nami będzie?”

W tej chwili nad uchem Fidasza pochylił się Kalikrates i jednocześnie do ręki wetknął mu zwitek papyrusu.

— Ach tak, rzekł Fidasz. W mojej trosce zapominałem, że mamy eżem poprzeć nasz sąd. Tu oto odrysowałyśmy niektóre ich dzieła. Zechciejcie spojrzeć. To jest Orfeusz. Tak mi zaręczano i sam to widzę. Ta żaba, oczarowana głosem liry. Ta Furja Bachante, zakłęta w niedźną drzewinę. Rozwarła paszczę nad głową nieszczęślika, lada chwila ją porwie, by rzucić w fale Hebru... A on, w dal zapatrzonej, zda się nie wiedzieć, co go czeka... Chciałoby się ostrzec, chciałoby się

siłą stąd go uprowadzić. Patrząc bezczynnie staje się udręka...

Tu przerwał Apollo:

— O Fidaszu, potrzykroć dopełnił zadania, kto dziełem swoim wzruszył.

— Słusznie osądził, Panie! Więć patrzyni dalej. Tu postawili żołnierza na czatach. Spogląda pilnie na Wschód. Widać ważne dale mu zięcenie. Dali mu także przystojne opatrzenie. Ale na Zeusa, Rodzica Twego, Panie! Te nogi... tak cienkie... czy zdzierż?

— Symbol, Fidaszu, symbol! Gallus vigilans! Nie zrozumieliś? Autor zapatrzył się na wzór czujności. Jakże go za to widać?

— Zaisze, słusznie oceniliś, Panie! A tu oto jest Ikar.

— Poznaj. Postawa wyniosła, szerokie uderzenia dłuta, jak przystoi dla postaci, która za chwilę rozplynie się w obłokach. Czegoż chcecie?

— Panie, spojrzysz z drugiej strony. Czemuż druto stało się wymowniejsze dla części, którą Ikar zyczajnie okrywał ehlamidą?

— Hm... może także symbol. Myśl artystyś mknę chęży, niezawsze można za nią wydząć.

— I znówu słusznie rzekł, Panie. Więć oto jeszcze Gładjator. W setnych bojach pokonał przeciwników, a tu go boleść na wnętrzu skłęciła we wzrocie. Ten człowiek cierpi... Czemuż jednak nie odniósł go do domu?

Apollo pochylił nad rysunkiem czoło, zaraz je podniósł i popadł w zadumę. Porzucony papyrus pod jego bóginię. Co która spojrz, wnet podaje dalej. Tak szybko obiegł

papyrus dokola i leży pośrodku.

Nikt nie przerwał milczenia, chyba Eol, co w pobliskiej dębnie uderzał po strunach.

Wtedy Fidasz z lepszą otuchą począł mówić dalej:

— Nie będę czekał waszych słów, Niebianie. Milczenie mi wystarczy. Zaprawdę i ten ci tu autor potrzykroć dopełnił zadania — dziełem swoim nietylko ludzi, bogów nawet poruszył... Więć teraz sądzić... Dawniej śmiertelni pracowali w glinie. Była nadzieja, że, poczekawszy, ta sama glina będzie lepić znova. Ale dziś oni pracują w sypiu i w kamieniu! Mamy więc po wsze czasy zapytywać: Czemuż? i co to?

Tu Apollo ocknął się z zadumy. Rzekł:

— Po wsze czasy?.. O Fidaszu!... Jak Parthenon, świątynia siostry mej, Djany, mój chram w Delfach! W nich — choć kamień jeden, drugi się obumiera, ha, choć ziemia tylko zostanie i nad nią czyste nicło — dwóch żyje i żyć będzie zawsze. Ale to twory, co budzą wasze wątpliwości... Pył przydrożny będzie dla nich pyłem zapomnienia... Dać wam odejść? Przenigdy! Byłoby to uznać się zwyciężonym. Nie takie chyba są wasze chęci?.. Chcecie odpocząć?.. Słusznie... Póki rozum śmiertelnych nie wróci do równowagi... Niech będzie na lat sto, na dwieście...

Głowy Mistrzów zakotłowały się, głosy się ozwały:

— Mało!.. Mało!..

— Powiedzmy pięćset...

A Clio, która cały czas pilnie przeglądała karty Dziejów Świata, zamknęła Księgę i rzekła:

— Tysiąc!

Tu „pociąg wpadł w czarną trumnę dworca i nakrył się osmałonym wiekiem”, a tu znów „dom kupił się, ciągiem wlewał i przelewał progiem”, podczas gdy bohater - udarnik „miał też rozkosz pracy wygniecioną krwawym różańcem na kregosłupie”.

I t. p. i t. d.

Po takiej wiazance kwiatów i kwiatków naturalistycznych. przenosi, metafor, amplifikacji stylowych i fioritur językowych nie można się dziwić ciekawości czytelnika kulininującej zapewne w pytaniach: w czym rzecz i kto zacytuje bohatera?

## GDYNSKI CONQUISTADOR

Otóż „bohater” Michał Rusinka Piotr Orzeluch (podobne do Korzeluch) jedzie z „rodzimego miasta” do Gdyni „świętego miasta” i tam mając nieco... forsy zakłada podrzędny zakład fotograficzny.

Tam w Gdyni zbija po kilku latach („harówki”) większy zapas gotówki, z którym spokojnie wraca do „rodzimego miasta”. Karakon - conquistador. Idzie, wywodzi się z mrowia tych, co to „prali się szorstko w ciężbę twarżdziną kolan” nowej warstwy. Dewizy „szorstkiego prania”: „potom, żeby tam dojść” („arri-ver), „jemu chodziło o pieniądze”, „trzeba mieć, jaknajprędzej dom!” taki sam dom kamienicę, nieruchomość realną, jaką mają realni burżuazy (Gąsior, Hubki): „dom rzegotliwy”.

Dochodzi do tego celu karakońskimi metodami, jak inne gro szoroby normalne, tym trybem, że wszystko w nim ciągle... „tęże-je”, „pęcznieje”, „prężnieje”, „narasta”, „przrasta”, „nasia-ka”, to „soczystością”, to rzeżkością narasta. Dzięki temu rozbyczeniu (Witkacy) Orzeluch wyszedłszy z budy i brzydzy (krakowskiej) na obcym terenie (gdynskim), łatwo zwycięża, jak zwycięża i... Józef Żółdek z rodzimego miasta w powieści Wandy Dobaczewskiej (Wilno). Zdobywcy Koryt.

## PANSTWOWIEC

Wiary żadnej w nie Piotr Orzeluch z Krakowa nie ma ani śladu ani cienia. Chyba w „Kurjerka”. Ani jednego przeblęsku abstrakcyjnego we łbie dziecka z „małego Rzymu”. O Bogu w książce ani razu. Zwierzak jest bez żadnej tradycji, bez żadnych obciążań historycznych, a jeżeli jakie reminiscencje, to z... kłoseł i wychodków. Dla przyrody bbojętność stuprocentowa: polskie odzyskane morze jest „telepięco”, skotłuniale i wydaje „postętk”. W Gdańsku nie dostrzegł: nic, w Gdyni nie raczył zauważyć tubylców Kaszubów. Na Pomorze dalsze nie zajrzał (Zdobywcy Koryt)...

„Kaźda kłatwa dodawała mu otuchy”... „Psiakrew ma zdolność rozpętywania serca”...

Państwowiec atoli rzetelnym ten mocarnik z narracji M. Rusinka już jest. O Łowczówku wspomina. Im należy się cała Polska i wszystkie posady (A nous la propriété!). W krytycznym momencie wygłasza mowę do tłumu szewców w obronie „Warenhausów i pralni mechanicznej przez krajana i w Gdyni instalowanej. Jest nieco rewolucyjny ale równocześnie i blagomający a o polskiej wyraża się z rozczuleniem... (niebieskie ćwieki mocy... nasze prawo)... Przy każdej nadarzonej okazji ten twardy morowiec „całuje rączki”.

No i jeszcze się nie przyzwyczaił do obiegowej monety polskiej: grosz, ale stale używa z uporem: „centów”. Po piętnastu latach niepodległości! Jeszcze centusie!

Z tej racji nie jest zbyt sympatycznym zjawiskiem ten „nowy typ” powieści polskiej, jak zresztą i ten cały neorealizm, nieco bebechowały, nieco pomysłowy, nieco Karakonowski... nie przedstawia dużo uroku i czaru dla nas coprawda ludzi już starej daty.

I jeżeli Piotr do Marty mówi w pewnej chwili: „idź pan do jasnej cholery”, to i my morituri dodajemy: z takimi laureatami.